

Z teatrów stołecznych

»Spadkobiercy pana Rabourdin« E. Zoli

(Teatr Nowy)

Teatr poznański wygrzebał niedawno interesującą sztukę znakomitego pisarza francuskiego Flauberta pt. „Kandydat”. Warszawski Teatr Nowy przypomniał zupełnie nieznaną u nas — jeśli nie liczyć zapomnianego przekładu z r. 1909 — i nie wystawianą komedię innego świetnego powieściopisarza francuskiego Emila Zoli, „Spadkobiercy pana Rabourdin”. Było to niespodzianką, bo niewiele zapewne pamiętało, że autor bardzo czytelnego u nas cyklu powieściowego „Rougon Macquartów”, był także twórcą komedii, która zresztą i w jego ojczyźnie nie zdobyła powodzenia. Właściwie nie jest to komedia, ale farsa, do której autor świadomie przeniósł sytuację, a także całe sceny i zwroty z utworów Molièra i z „Volpone” Ben Jonsona, dostosowując je do akcji i spraw sobie współczesnych.

Odwrócił przy tym znany komediiowy temat czekania spadkobierców na spadek w ten sposób, że tu nie tylko oni uganiają się za pierwszeństwem w dziedziczeniu, ale i rzekomo umierający wujaszek wyłudza od nich z pomocą wnuczki, dary i pieniądze. A do tego spodziewany majątek okazuje się fikcją, fikcję tę jednak trzeba utrzymać dla wzmocnienia pozycji społecznej „spadkobierców”, którzy dzięki temu — imponując rzekomymi przyszłymi zyskami — zapewniają sobie odpowiednie poważanie w miasteczku.

Ten zabawny żart sceniczny ma charakter ciętej, satyrycznej karykatury, której ostrze uderza w panowanie pieniądza i w „magiczny” wpływ kapitału wśród burżuazji nawet wtedy, kiedy jest on oszukańczą fikcją. „Spadkobiercy pana Rabourdin” bawią nie tylko pewnymi smaczkami literackimi w odszukiwaniu wzorów różnych świadomych naśladownictw, ale też nagromadzeniem wielu śmiesznych sytuacji, absurdalnych, jeżeli idzie o ich prawdopodobieństwo życiowe, ale prawdziwych, jeżeli idzie o pokazanie poprzez nie pieniężnych motorów działania tych ludzi. Poza tym znajdzie się tu niejedno dowcipne powiedzenie, niejedno zręczne i zabawne słowne pchnięcie satyryczne.

Niestety, tych wszystkich zalet — przy stwierdzeniu zresztą, że sztuka z pewnością nie jest arcydziełem — można się tylko domyślić i to z wielkim trudem z przedstawienia w Teatrze Nowym. Trzeba powiedzieć z przykrością, że teatr zrobił wszystko, aby... zepsuć sztukę i przedstawienie. Reżyser Janina Orsza-Lukasiewicz w ogóle nie zrozumiała charakteru sztuki, a i przyjętej mylnej koncepcji nie umiała nadać jakiegos sensownego kształtu teatralnego. To samo można powiedzieć i o aktorach.

Nie mówimy już o tym, że nie było w tym ani kręty atmosfery francuskiej prowincji ubiegłego wieku. Ale „Spadkobiercy” mogą działać teatralnie tylko jako farsa grana w szybkim tempie, z maksymalnym poczuciem humoru, lekkością i umiętnością wydobycia i podania dowcipu sytuacyjnego i słownego. Tylko wtedy mo-

że wyjść cała jej ostrość satyryczna. Zamiast tego zobaczyliśmy usiłowania zrobienia z tego poważnej komedii, „urozmaiczonej” najbardziej prymitywnymi, zewnętrznymi wykokami farsowymi. Powstało w ten sposób coś w rodzaju skrzyżowania Bałuckiego z kiepskim cyrkiem w wydaniu co się zowie prowincjonalnym.

Wszystko w tym przedstawieniu szło trochę do Sasa, trochę do lasa Główną rolę pana Rabourdin, wymagającą aktora o ogromnej sile komicznej, grał Aleksander Michałowski, który zrobił z niego poważnego poczułwa, zupełnie nie wygrywając możliwościom komizmu, po prostu natrętnie nasuwających się z tekstu. Poza tym przedstawienie przechodziło od jakiejś kosztmarnej groteski (Hanna Parysiewicz, jako jedna z „dziedziczących siostrzeniec, pani Fiquet) do celebrowania na serio (Irena Grywińska, jako druga z „dziedziczących” siostrzeniec, pani Vaussard): od wyraźnego nieobycia ze sceną (Edmund Karwański, jako „dobry wnuczek” Dominik i Józef Styko, jako prowincjonalny smant Ledoux) do prymitywności ujęcia teatralnego (Marian Friedmann, jako osiemdziesięcioletni skąpiec Chapuzot, Mikołaj Wołyńczyk jako lekarz i Jan Nowicki jako handlarz Lzaak); od bezbarwności aktorów (Krystyna Possart jako wnuczka Karolina, Urszula Halacińska jako córka pani Fiquet) — do ciężkich, kłócących się z charakterem sztuki dekoracji (Anny Zaporoskiej, a za to farsowych i brzydkich kostiumów.

Jednym słowem nie było w tym nic z Zoli, nic ze sztuki i nic z... dobrego przedstawienia.

AUGUST GRODZICKI